

Dolar w Warszawie
5.185

CENA PRENUMERATY:		
Miesięcznie	w Łodzi	złotych 1.80
"	" kraju	2.80
"	" zagranicą	4.00
Odnoszenie do domu 15 groszy miesięcznie „Kurier Wileczorny” łącznie z „Głosem Polskim” wraz z odniesieniem 4.80 złotych miesięcznie.		

Redakcja i Administracja: Łódź, Piotrkowska nr. 106
Telefon nr. 7-99.

constantynopola.

WALTHER RATHENAU.

Wspomnienie pośmiertne.

Przed dwoma laty, kiedy w dzień pogrzebu Rathenau'a całe Niemcy kilka godzin świętowały, przeprawiłem się promem na przeciwległy brzeg Nekar. Między innymi na promie znajdował się szesnastoletni uczeń o bardzo południowym (semickim) wyglądzie z odznaką szwinistów — krzyż — toporek w butonierce.

„To jest prowokacja — zawołała pewna kobieta, siedząca obok mnie — dzisiaj to nosić! Trzeba mu tę odznakę do rzeki wrzucić!”

„Proszę mu to pozostawić — odrzekłem — bez tego krzyża uważano go za żyda”.

Jak niewiele natomiast zewnętrznych rysów semickich można było doszukać u Rathenau'a; zato charakter tego człowieka pozwalał, bez głębszych doszukiwań, odgadnąć jego przynależność do żydostwa, choć dodać trzeba, że Rathenau tę swoją przynależność zawsze akcentował. Najtrafniejsze, zdawałoby się, argumenty antysemitów zostały zniweczone na tym szlachetnym typie człowieka ludzkości; wszak otwarcie potwierdza to hrabia — katolik Coudenhove w swej rozprawie o szlachectwie. Ponieważ Rathenau zbyt otwarcie swą przynależność rasową okazywał — musiał zginąć. Zgubę swoją Rathenau przewidział, gdyż wiadomym mu było, iż naród niemiecki nigdy nie dopuści do tego, aby nim jakkolwiek Disraeli kierował. Naród ten po dziś dzień nie wyżył się uczuć odrazy rasowej ze średniowiecza; jest to smutne — lecz pominąć tego milczeniem nie można. Ale czy Erzberger, Seipel nie zostali zaatakowani, będąc katolikami? Owszem, lecz pobudki napadów na wymienione osobistości mają swe źródło odrębne, którego tutaj bliżej poruszać nie będę; przyczyną natomiast, dla częściowego wytłumaczenia, następujące słowa, które Bismarck powiedział do gen. Wimpfen po zwycięstwie pod Sedanem: „Na wdzięczność liczyć, jest niemądre; na wdzięczność narodów — niebezpieczne”.

Jeśli prawdą jest, że w życiu społecznym ostatecznie rozważa zwycięża namiętność, to również dzisiaj zmusza logikę każdego mędrca do obrania polityki rozsądku, dla której, by dojść do władzy, swych przeciwników zwalczał. Rathenau zginął, gdyż był bezwzględny zwolennikiem wypełnienia przyjętych zobowiązań, mimo to, przeciwnicy i zabójcy dziś postępują w myśl jego zasady i ostatecznie tajemnicy z tego nie czynią. Wiadomym jest, że Venizelos dążył do utworzenia republiki, a gdy został usunięty, przeciwnicy jego proklamowali republikę. Tak samo Matteotti podniósł głos przeciwko korupcji, a partia, której członkowie go zamordowali, musi dzisiaj poddać się „oczyszczeniu”. W zasadniczych sprawach obecna sytuacja Niemiec potwierdza fakty i nastroje, zapoczątkowane przed dwoma laty przez rząd, do którego należał również Rathenau. Nie był on bynajmniej prorokiem, który wypadki przewidywał; był natomiast jedną z najbardziej świadomych osobistości, otoczony małą grupką ludzi, którzy z jego zdaniem się solidaryzowali i do wspólnego dążyli celu. Rathenau wycofnił się zdołnością szybkiego opanowywania sytuacji i odnajdywaniem jedyne go korzystnego wyjścia. Już po kilku tygodniach prowadzenia zwycięskiego wojny w roku 1914 był Rathenau zwolennikiem rozwiązania konfliktu drogą porozumienia. Żadne zwycięstwo i świetne zwycięstwa nie potrafiły go zalepić, gdyż dzięki głębokiej wiedzy znał doskonale sytuację wroga i zdawał sobie doskonale sprawę z niewyczerpanych rezerw, jakimi wróg rozporządzał. Jeśli mimo to w ostatnich tygodniach wojny do obrony nawoływał, to tylko dlatego, że mając do wyboru upadłość i li-

kwidację — wołał to ostatnie. Głęboka wiedza i znajomość wrogów ułatwiły mu pertraktacje. Kiedy chwalono go z okazji powołania na pełnomocnika rządu, ci, którzy oskarżali, zapomnieli o zasadzie, której się trzymają za długie towarzysztwa — obierając na stanowisko dyrektora człowieka, który jest mile widziany u wierzycieli. Dlatego wybór Rathenau'a owego czasu zaliczyć należy do najracjonalniejszych.

Natomiast zawarcie traktatu Rathenau'a z Czicherinem w Rapallo, przez co skierował przeciwko sobie przedstawicieli państw na konferencji w Genewie, zaliczyć należy do najbardziej niepomysłnych kroków. Twierdzenie jego, jakoby przez zawarcie traktatu z Rosją wyprzedził przeciwną stronę, nie usprawiedliwia tego postępu.

Mimo tego błędu Rathenau był osobistością imponującą na konferencji w Genewie. Po raz pierwszy po Bülowie i Kinderlenie dołączyli Niemcy na wydelegowanie na konferencję naprawdę światłej osobistości. Czterdziestu narodów, których przedstawiciele z nieufnością spoglądali na obecne Niemcy, czując w nowej republice stare tradycje, podziwiali człowieka, który pod względem wiedzy, wykształcenia, znajomości języków i sztuki retorycznej jakoteż obejścia, przewyższał wszystkich obecnych. O jego niebywałych zaletach duchowych świadczy fakt, że potrafił, już po upływie tygodnia, zneutralizować rozgoryczenie i rozczarowanie, jakie traktatem w Rapallo wywołał, zaś na ostatnim posiedzeniu odniósł moralne zwycięstwo, jakiego nikt z obecnych na tej historycznej konferencji odnieść nie potrafił.

Zastanówmy się nad motywami, które zamordowanie Rathenau'a wywołały. Każdy, obcując z Rathenau'em musiał wyczuć wyższość jego ducha. Czyż można się dziwić, że wśród ludzi, którzy nie chcieli go uznać za równego, jako nie należącego do ich rasy, zrodziła się głęboka nienawiść. To uczucie nienawiści pięćdziesięciu czy stu Niemców, którzy bezpośrednio z Rathenau'em się stykali, było przez prasę i ogół rozpowszechniane; pozbawione zostało, dzięki fałszywym, podstępny wiadomościom, przekonania o go, że za wszelkie zło, które ojczyźnie wyrządzone zostało, ten oto Rathenau ponosi winę. Uważano, że poprawy można oczekiwać dopiero po zgładzeniu tego człowieka.

Jakiż rezultat osiągnięto? Przed rokiem zebrała się w Reichstagu młodzież i inteligencja, aby dać ujście uczuciom rozgoryczenia; wtedy wierzono jeszcze w te inne Niemcy. Od tego czasu stosunki nie uległy zmianie na lepsze. Uczciwi, dzielni i mądry ludzie, do których należał również przyjaciel Rathenau'a, zostali usunięci; ludzie, którzy w zmianie kierunku polityki francuskiej widzieli radosny objaw, zostają wyszydzeni i oskarżeni; i jak los czeka taki kraj?

„Mej troski nie potrafię opisać — pisał do swego przyjaciela wielki i poczciwy Carnot w roku 1797. Wszystko w ojczyźnie wskazuje na kompletny rozkład. Partie radykałów, jakoteż socjalistów dążą do rozlewu krwi. Nie ma możliwości powstrzymania anarchii w kraju, ani nadziei na osiągnięcie pokoju z zagranicą, republika się rozpada, grozi nam kompletny chaos. Boże, jakąż przyszłość!”

Czyż nie przypomina to słów Rathenau'a, który zawsze ostrzegał? Gdy za jego rządów ktoś zapewniał, że francuzi nie ośmiela się zająć załobą Rury, Rathenau spojrział bacznie na tego optymistę i spokojnie mu odpowiedział:

„Poślemy im trochę mniej węgla, a przyda!”

Rathenau zginął u zenitu swej

Ex-król grecki o swoich przyjaciółach.

Jeden z wybitnych dziennikarzy paryskich tak opowiada swoją wizytę u królestwa greckiego, do których zaproszony był na śniadanie w kółku najbliższych.

Drobny deszczyk pada na bujną zieleni ogrodu Tuileryjskiego, przez jedyne okno do salonu wpadają głucho odgłosy Paryża, a wiatr przynosi zapachy wiosenne.

Dokoła małego stołu, królestwo greckie zasiadli w otoczeniu czterech przyjaciół, również, jak ja, zaproszonych na śniadanie.

Królowa Elżbieta, przypominająca majestatyczną pięknością matkę swą, królową Marię rumuńską, mówi mało i spoglądając melancholijnie przez okno, myśli zapewne o swej oddalonej Rumunii.

Ożywia się tylko na krótko, kiedy mowa o jej ojczyźnie, wspomina wówczas swoje dzieciństwo i młodość;

kiedy zaś mowa o Grecji, milknie: jest to dla niej kraj, w którym przedewszystkiem cierpiała.

Król z wyglądu i usposobienia jest zaskakująco młody.

Tragedja, jaką przeżył, nie zmąciła jego wrodzonego humoru. I od czasu do czasu, opowiadając jakąś przygodę swojej krótkiej kariery monarszej, wybucha serdecznym niemal dziecięcym śmiechem.

Stara się on sprostować legendy, krążące dokoła jego osoby.

— Oskarżano mnie, mówi, że odpowiedzialność za morderstwo ministrów mego ojca, spada na mnie. To niegodne, gdyż uczyniłem wszystko, ażeby ich uratować i robiłem starania nie tylko u komitetu wojakowskiego, lecz prosiłem o interwencję ciała dyplomatyczne. Przywódcy komitetu wojakowskiego, ogarnięci szalem jakimś, pragnęli ofiar,

obawiali się o siebie samych. Przypominam sobie, kiedy podczas moich spacerów po ulicach Aten, bez żadnej swity, spotykałem tych władców kraju w otoczeniu eskorty i uzbrojonych od stóp do głów.

— Czy W. Kr. Mości groziło kiedy niebezpieczeństwo, — zapytałem?

— Nie, nigdy nie miałem tego wrażenia, członkowie komitetu zachowywali się z całą kurtuazją i polecieli pilnie strzec mnie. W końcu nie miałem swobody nawet w moim własnym ogrodzie,

gdyż uszczęśliwiono mnie dwoma tajnymi agentami. Najważniejszym zarzutem, jaki mi uczyniło zgromadzenie narodowe, był zarzut, że stanąłem w obronie bezbronnego biedaka, bitego przez zandarmów.

Po chwili namysłu król dodaje: — Z gazet dowiedziałem się, jakoby proponowano mi pozostawienie tytułu, przywilejów oraz listy cywilnej, z zastrzeżeniem jednak, że zgodzę się na abdykację. — Wersja ta tak się przyjęła, że nawet stryj mój, Jerzy, uwierzył w nią. Gdyby mi uczyniono podobną propozycję, odrzuciłbym ją, jako niegodną i honoru mego

nie sprzedałbym za pieniądze.

Po tych wynurzeniach przyszła kolej, na inne. Król grecki, aczkolwiek młody, filozofuje i z doświadczeń swoich

wyniósł dla polityków pogardę, ale pogardę uśmiechniętą, pogodnie. Patrzy on na ludzi i zjawiska pod humorystycznym kątem widzenia, mówi o nich z uśmiechem i gdyby nie melancholijny wzrok pięknej królowej, powiedziałbym, że nie widziałem nigdy wygnaneńców lepiej usposobionych.

potęgę, tuż przed upadkiem, który mu reakcja przygotowywała. W poczuciu spełnienia misji umarł bez męki. Los godny poza zdroszczenia!

Wskutek tragicznej śmierci został Rathenau bohaterem i nigdy prace i dzieła nie zdołałyby imienia jego tak utrwalić, jak się to stało, dzięki tym, którzy pragnęli, by świat o nim i jego dziełach zapomniał.

Emil Ludwig.

Socjaliści niemieccy o porozumieniu francusko-niemieckim.

Breitscheid charakteryzuje politykę Herriota i Poincare'go.

Socjalista niemiecki dr. Breitscheid, który przed kilku dniami powrócił z Francji, wygłosił w Berlinie referat na temat porozumienia francusko-niemieckiego.

Referent na wstępie podniósł, że na przeszkodzie temu porozumieniu przez dziesiątki lat stała kwestja alzacko - lotaryńska.

Wszystkie próby, przedsięwzięte przez socjalistów tak z jednej jak i z drugiej strony, a żądane przez niezapomnianego Jauresa, aby do prowadzić do pojednania obu krajów, nie wydały rezultatu.

W szkołach wpojono w młodzież zasadę, że oba kraje są swymi dziedzicznymi wrogami.

Tak przygotowało się nastroj, który był potrzebny podżegaczom do wojny w obu krajach.

Zbędne jest teraz mówić o tem, kto ponosi winę wojny. Ale zdaje się, że zapomniano, iż

przed 10 laty niemiecki poseł w Paryżu domagał się nietylko neutralności Francji, ale ponadto, dla zabezpieczenia tej neutralności, zgody na obsadzenie przez wojska niemieckie twierdz francuskich Toul i Verdun.

Tego warunku Francja przyjęć nie mogła. Poincare za swych rządów zerwał prawie wszystkie mosty, wiedące do porozumienia. Uprawiał on politykę błędną, a nawet — powiedzmy to — zbrodniczą. Mimo to musimy ją zrozumieć. Musimy sobie uprzytomnić, że zniszczone obszary leżały przed bramami Paryża.

Można francuzom powtarzać, że niemiecki lud nie chce wojny — zaraz będą nam wskazywali na obchody „niemieckich dni”, na wychwilenia nacjonalistyczne. Jest trudno wpoić przekonanie o pokojowych zamiarach Niemiec w naród 40 milionowy, który żyje w ciągłej obawie przed narodem 60 - milionowym, opowiadającym w swych książkach historycznych zawsze o wojnach z Francją.

Francja myśli tylko nad tem, jakby się zabezpieczyć.

Wie ona, że zwyciężyła tylko z pomocą innych, a nie wie, czy ci udzieli jej znowu poparcia. Poincare dał receptę na zabezpieczenie.

Tymczasem druga Francja z rosnącym wpływem pracowała nad porozumieniem, lecz o tem nie wie dziano zrazu w Niemczech i dlatego wszystkich zaskoczyły wielkie sukcesy lewicy francuskiej przy wyborach. Poincare musiał odejść, Millerand ustąpić. Powstał rząd radykalnych socjalistów z poparciem socjalistów, którzy do niego wstąpili.

Herriot był zdecydowany zerwać z polityką Poincare'go.

Przyjęcie orzeczenia eksper-

tów i obowiązków z tego wypływających charakteryzuje jego politykę. Wielka część ludności, wydalonej z zagłębia Rury, wróciła do swych siedzib. Naszym nacjonalistom jest to bardzo nieprzyjemne. Nacjonaliści postępują tak, jakby się nic nie stało. Dlatego towarzystwa Ren i Ruhr — to tylko środki dla uprawiania partyjnej polityki.

Kto twierdzi, że Herriot nie różni się niczem od Poincare'go, ten go nie zna, albo mówi świadomie nieprawdę.

Herriot jest najuczciwszym politykiem, którego najwyższym celem jest stworzenie pokoju w Europie.

Lecz to nie da się zrobić w jednym dniu; i on musi uwzględniać stosunki. Nie zapominajmy, że napotyka na opór ze strony senatu,

który wprawdzie stoi na lewo od Poincare'go, ale na prawo od Herriota, oraz ze strony starej dyplomacji, starych urzędników. Herriot wie, że

nie wystarczy obsadzić najwyższe stanowiska rządowe, aby zmienić kurs.

Ponadto trzeba zważyć, że wielkość, na której się Herriot wspiera, jest bardzo niepewna.

Największym niebezpieczeństwem dla jego polityki jest ewentualne zwycięstwo niemieckiego nacjonalizmu.

Jeżeli chcemy udzielić poparcia demokracji francuskiej, musimy dbać o utrzymanie demokracji w Niemczech. Zagrożona ona będzie, jeśli niemieckim narodowcom uda się wstąpić do rządu. Temu musimy wszelkimi siłami przeszkodzić. Naszym zadaniem jest połączyć w jakikolwiek sposób sprawę 8-godzinnego dnia pracy z przyjęciem orzeczenia ekspertów. Potem

musimy wszystko robić, by uzyskać przyjęcie Niemiec do ligi narodów.

Idiotyzmem jest twierdzenie, że polecalem Nolleta na ministra wojny. Z Herriotem rozmawiałem jako człowiek prywatny, a on słuchał mnie, jako przyjaciela. Omawialiśmy sprawę Rury i powrotu jeńców i wydalonych. Lecz

wszystko, co socjalista czyni dla swego narodu, wzburza nacjonalistów.

Mimo wszystko nie powinniśmy zaprzestać pracy nad doprowadzeniem do porozumienia. Porozumienie Niemiec z Francją jest celem, dla którego musimy ponieść ofiary, gdyż ono umożliwi nam wzmocnienie republiki u nas i w ten sposób przygotowuje drogę, którą dojdziemy do socjalizmu.”

Przychodźstwo do Palestyny w 1923 roku

Ogólna liczba wychodźców przybyłych do Palestyny w ostatnich czterech miesiącach 1923 r. wyniosła 2002, z których (według informacji tutejszej egzekutywy syntezy) 558 było z Polski, 489 — z Rosji, 112 — z Ukrainy, 12 — z Czechosłowacji, 102 — z Rumunii, 81 — z Litwy, 13 — z Łotwy, 8 — z Anglii, 9 — z Węgier, 104 — z Bułgarii, 26 — z Niemiec, 48 — z Grecji, 12 — z Egiptu, 49 — z Syrii, 30 — z Turkiestanu, 36 — z Anatolii, 4 — z Marokka, 46 — ze St. Zjednoczonych, 11 — z Austrii, 1 — z Francji, 1 — z Włoch, reszta — z innych krajów azjatyckich i amerykańskich.

Z wykazanej powyżej liczby emigrantów z Polski wypada na:

wrzesień	202
październik	117
listopad	119
grudzień	120

Ogólna liczba przychodźców z

Polski wynosiła, według informacji tutejszego departamentu imigracji i podróży, za czas od 1 stycznia do 31 grudnia 1923 r. 2252 osoby.

Wśród przychodźców, wpuszczonych do Palestyny w okresie sprawozdawczym (od 1 września do 31 grudnia 1923 r.), było:

795 sił wykwalifikowanych, a mianowicie: rzemieślników, robotników, rolników i robotników rolnych (liczba tych ostatnich wynosiła 278), oraz inteligencji z zawodów wolnych (inżynierów, lekarzy, nauczycieli etc.) Liczba robotników niewykwalifikowanych, wpuszczonych do Palestyny w tym samym okresie, wynosiła: 297.

Liczba przychodźców, którym na zasadzie przepisów imigracyjnych wzbroniono wstępu do Palestyny, wynosiła w okresie sprawozdawczym 36. Ogólna liczba przychodźców do Palestyny w r. 1923 z wynosi 7991 osób,

CO DZIEN NIESIE?

LIPIEC

15

Wtorek

Dziś: Henryka ces.
Jutro: M. B. Skaplerz.
Wschód st. o g. 5.55
Zachód st. o g. 7.50
Wschód ks. 6.59 w.
Zachód ks. 9.00
Dług. dnia 16 g. 17 m.
Ubyło dnia 0 g. 26 m.

Biblioteka Publiczna, ul. Andrzeja 14. Otwarta w dni powszednie od godz. 3 — 9 wiecz.

Miejska galerja sztuki, park im. Sienkiewicza wystawa malarstwa, rzeźby, grafiki i zdobnictwa polskiego, otwarta od 10 r. do 8 w.

Czytelnia „Tow. przyjaciół Francji”, ul. Piotrkowska 103, otwarta codziennie z wyjątkiem piątków od 6—8 wiecz.

Dzisiejsze widowiska:

Teatr Miejski
w parku Staszica:
„Maskota”.

Teatr letni „Scala” w ogródku
Variete. Program nr. 3.

„Casino”:
„Apaszka z Paryża”.

„Luna”:
„Młody Maharadża”.

„Odeon”:
„Romans księżniczki de Valois”.

„Grand - Kino”:
„Zakazane miasto”.

Kino wspólne pracown. państwowych:
„Agonja orłów”.

REDUKCJA PRACY.

Potworny kryzys gospodarczy gnębi dotkliwie wszystkie galezie wytwórczości. Ze wszystkich stron słychać wołania o pomoc. Rodzą się rozmaite projekty złagodzenia sytuacji. Poniższy artykuł jednego z naszych czytelników porusza jedną stronę kryzysu. Niezupełnie zgadzamy się z wywodami autora, tem niemniej drukujemy jego słowa, aby jaknajwszechstronniej oświecić palącą sprawę dnia. (Redakcja).

Kryzysy ekonomiczne, połączone z nieodzowną zawsze redukcją pracy, są dla każdego gospodarstwa społecznego zjawiskiem bardzo przykrem. Straty materialne, jakie każde społeczeństwo przytem ponosi, nie są, a zresztą nie mogą być równomiernie rozłożone na wszystkich. Jest pewna część ludzi, którzy mieli to nieszczęście pracować w branży, która niewspółmiernie dużo cierpi z powodu kryzysu. Wsparcia, udzielane z kasy państwowej, czy też samorządowej, niewielką ulgę przynieść mogą. Nie możemy się ani na chwilę ludzi, że kryzys obecny, będący skutkiem zbyt wielkiej ekspansji produkcji w czasie spadku marki polskiej, spowoduje redukcję pracy i to nie chwilową.

Jest obecnie wymogiem chwili dobrze się nad tym problemem zastanowić, by nadać redukcji pewne cechy sprawiedliwości społecznej i ująć ją w pewien zorganizowany system selekcyjny.

A więc w pierwszej linii zatrzymać należy najbardziej wykwalifikowanych i najdłużej w danym

zawodzie pracujących robotników, względnie pracowników, w drugiej zaś ojców rodziny, będącej całkowicie na utrzymaniu.

Zdając sobie sprawę, że redukcja pracy jest koniecznością stwierdzoną i niechybną, należy wyznaczyć pracę przedewszystkiem tym robotnikom, które mogłyby znaleźć zajęcie w charakterze służby domowej, lub tym wszystkim robotnikom obojga płci, którzy są członkami rodziny, dajmy na to, 4 - osobowej, gdzie jest dwóch pracujących, albo też 6 - osobowej, gdzie trzy osoby zajmują się pracą zawodową.

Dopiero później redukcja obłąć powinna mających połowiczne utrzymanie i tych, którzy, niedawno pracując w danym zawodzie, mogliby ewentualnie znaleźć zajęcie w innym, np. rolnictwie.

Skierowanie redukcji na tor powyżej wzmiankowane jest zadaniem chwili ciężkiej, jaką obecnie przeżywamy. Ujęcie jej w pewien system sprawiedliwości społecznej zaoszczędzi niechybnie niejednemu pracownikowi odczucie zbyt wielkiej krzywdy. Marzenia o tem, że redukcja będzie zjawiskiem chwilowym, równałaby się samooszukiwaniu.

Rzecz sama pozostanie jednak w sferze projektów, o ile stowarzyszenia robotnicze nie wezmą inicjatywy w swoje ręce. Sądzę, że związki przemysłowe chętnie taką akcję poprą, i w ten sposób zmniejszą się groźba chaotyczności w ujęciu omawianej kwestji civ.

Życie i sąd.

FELJETONIK SĄDOWY.

ODCISK, GĘSI I SPRYTNY JOSEK.

Stacja Łódź—Kaliska.
Na peronie stoi tłum, oczekując nadejścia pociągu.

W pobliżu zegar stacyjny wybija godzinę 10-tą. Za 5 minut ma nadejść pociąg z Warszawy.

Tłum się kłóczy, fałuje, potraça. Słychać piski, gdakania, wrzaski, kłótnie. — A wszystko zlewa się w jedną wielką melodię, z której jakiś genjusz modernistyczny (gdyby chciał lechać z Łodzi do Kuluszek) stworzyłby napewno symfonię, która dla zwyczajnego ucha jest zwykłym szumem gotującego się tłumu...

Nareszcie pociąg nadjeżdża. Wielki kłód dymu bucha z komina i parowóz zatrzymuje się.

Ludzie wyskakują z wagonów, każdy pędzi do wyjścia, byle przedzej dostać się do tramwaju.

— Panie, moje odciski! — zwraca się otyła Jełmość do brodatego Joska, który, nie bacząc na stojącą obok damę, depcze po jej szanownych nogach.

Ten, nie chcąc widocznie zostać dłużnym, zadaje jej zupełnie trafne pytanie:

— A czy pani nie mogła zostawić odcisków w domu?

Stojący w pobliżu policjant, słysząc kłótnię, zbliżył się, aby zobaczyć, co się stało.

Jednakże Josek nie lubi widocznie mieć z władzą do czynienia, bo bierze nogi za pas i chce zniknąć. Policjant zatrzymuje go jednak i prosi o wylegitymowanie się, zapytując zarazem, co posiada w worku, który dźwiga na plecach.

Josek na początku stara się wykreślić ślanem, lecz widząc, że jest źle wyciąga z kieszeni jakiś pomiętoszony banknot i usiłuje go wcisnąć policjantowi w rękę.

Przedstawiciel władzy, oburzony tym jawnym dowodem przekupstwa, bierze bezceremonialnie Joska za kłape i prowadzi go do komisariatu.

Na przedwiole sądowym—Josek Tenbaum za handel gęsiami bez patentu oraz chęć przekupienia policjanta—podczas pełnienia przez niego obowiązków służbowych—skazany został na 2 miesiące więzienia. Seg.

Nieudana operacja.

Rodzice odumarli ich, gdy byli jeszcze małymi dziećmi, więc Antek, jako starszy, opiekował się swą siostrą Felką. Półki fabryki były czynne, Antek zarabiał jako robotnik fabryczny, zaś Felka sprzedawała na rynku nabiał, kupowany z zaoszczędzonych pieniędzy z tygodniówek brata. Czas się zmienił.

Fabrykant, tłumacząc się brakiem surowców i gotówki zamknął fabrykę i Antek z wieloma innymi robotnikami znalazł się na bruku bez grosza gotówki w kieszeni. Z początku brali ze sklepu artykuły spożywcze na kredyt, lecz gdy sklepikarz przekonał się, że Antek nie będzie w stanie uregulować rachunków, kategorycznie odmówił dalszego kredytu, twierdząc, iż i tak na dużą sumę go „nabrał”. Nie pomogły prośby zrozpaczonego Antka, iż rachunki wszystkie ureguluje z pierwszych zarobionych pieniędzy.

Od czasu do czasu Antek dostawał pracę na jeden lub dwa dni u właścicieli składów węgla, jako robotnik składowy. Zarobek ten jednak w krótkie się „urwał”, gdyż starsi robotnicy wypędzili Antka z pracy, jako konkurenta, który odbierał im zyski.

Nieubłagana nędza stała się przed oczyma rodzeństwa. Coraz częściej chodzili spać bez obiadu i kolacji, gdyż groszowe zarobki Antka nie wystarczały na taki „ludzkus”. Po dłuższej naradzie, rodzeństwo, nie mając innej drogi wyjścia, postanowiło wziąć się do kradzieży. Przez pewien czas lepiej im się powodziło, nie chodzili już spać na głodno. Lecz dopóty dzbana wodę nosi...

Dnia 24 maja rodzeństwo, jak zwykle, udało się do miasta na „zarobek”.

Przy przystanku tramwajowym, zauważyli jakiegoś „burżuja”, którego kieszeń wydała im się godną operacji.

Podczas gdy Felka zastanawiała brata, Antek zręcznym ruchem za-

czął rozpruwać brzytwą kieszeń nieznane go mężczyzny, chcąc dobrać się do „spasionej” portfelu.

Nieszczęście jednak chciało, iż Felka niechcąc została popchnięta przez jakiegoś pana, który spieszył do tramwaju. Antek niespodzianie pchnięty przez siostrę, skaleczył brzytwą „burżuja”, który z okrzykiem chwycił się za zranione miejsce.

Rodzeństwo rzuciło się do ucieczki, lecz zostało schwytane przez policjanta, którego zaalarmowały krzyki skaleczonego.

Badani w komisariacie przyznali się do usiłowania popełnienia kradzieży. Sprawa w dniu wczorajszym znalazła się na wokedzie sądu.

Sędziowie, po zbadaniu świadków i wysłuchaniu oskarżenia, popieranego przez przedstawiciela policji, skazali Antoniego Gruszkowskiego na 8, zaś siostrę jego, Felę, na 6 miesięcy więzienia. Jas.

Czy kobieta w majteczkach obraża mężczyznę?

Zabawna sprawa toczyła się obecnie w sądzie pokoju w Warszawie. Pewien profesor matematyki, człowiek bardzo przystojny i młody (35 lat) mieszkał u p. X., matki bardzo ładnej 19-letniej córki Jadwigi.

Panna Jadwiga kochała się w profesorze, mama wydała by ją chętnie za niego za mąż, ale profesora wogóle kobiety nie interesowały.

Mama wpadła na pomysł, który natychmiast zrealizowała. Gdy profesor przychodził do mieszkania, albo szedł do kuchni po wodę, pani X. spotykała go zwykle w całkowitym niemal negliżu. Stare, pękate, obrzydliwe babisko w ubraniu tak podobnem do męskiego?

Profesor odwracał głowę i... spotykał oczami „białą figurkę” Jadziuni, która też była „w negliżu”, z tą tylko różnicą, że u młodego było to wszystko stare i proste, zaś u Jadziuni, czyste, białe, czarne, w koronki i wstążeczki przystrójone.

Bo w tym momencie, gdy „mamunia” działała, ażeby „obrzydzić” profesorowi życie, córnia starała się osłodzić mu życie.

Pan profesor długo cierpiał, lecz w końcu podał do sądu jak mamunię, tak i córkę.

Adwokat oskarżyciela prywatnego oświadczył, że sąd najwyższy orzekł, iż ukazywanie się mężczyzny przed kobietą bez ubrania lub w ubraniu nieprzyzwoitem (bez kamizelki i krawata, w kalesonach i t. d.), o ile mężczyzna nie jest na to uprawniony przez stosunki osobiste (mąż, brat, bliski krewny, kochanek) stanowi obrazę. Otóż niezawodnie — kontynuuje swe wywody pan mecenas — dotyczy to i kobiety. Jeśli kobieta ukazuje się przed mężczyzną, powiedzmy w majteczkach, t. j. w ubraniu nieprzyzwoitem i nie jest do tego uprawniona przez stosunki osobiste, bo nie jest ani krewną, ani żoną, ani kochanką oskarżyciela prywatnego, to tem samem kobieta obraża mężczyznę. Pan mecenas poniera oskarżenie przeciwko pani X. i żąda kary.

Pełnomocnik pod sądnych, obrońca prywatny, stanowczo nie zgadzał się z tą interpretacją prawa i twierdził, że wyjaśnienie sądu najwyższego dotyczy wyłącznie mężczyzny. Kobieta, ukazująca się w negliżu przed mężczyzną wcale nie popełnia przez to występku.

Sąd pokoju nie podzielił zdania obrońcy prywatnego i skazał tak mamę jak i Jadziunię na dwa tygodnie aresztu, przyczem sędzia pouczył skazanych, że o ile i nadal będą w podobny sposób zohydzały życie przedstawicieli nauki, to sąd zastosuje środki najostrożniejsze.

Obrońca pań X. zakłada apelację, przyczem w kołach sądowych panuje przekonanie, że kara w stosunku do Jadzi, zostanie przez drugą instancję znacznie złagodzona.

Spowiedź dziecięcia wieku.

Pisma codzienne pełne są opisów głębokich tragedji i krwawych dramatów, pochłaniających setki biednych istot, walczących o prawo do życia. Poniższa spowiedź młodej dziewczyny, uczyniona z całą bezpośredniością przeżycia, jest wprawdzie cicha, bezkrwawa, ale jakże wstrząsająca w swej powszechności tragedji. Oto jak brzmi spowiedź Józji Kal... przeżywana beznadziejnym szlochom i chwytającami za serce westchnieniami:

„Matki swej nie znałam i nigdy jej pewnie nie zobaczę, chyba tam... gdzie niema już cierpień i męczarni.

Od dobrych ludzi dowiedziałam się, że matka moja przypłaciła życiem wydanie mnie na świat.

Mieszkaliśmy wówczas w Warszawie, w brudnej, ponurej suterynie, do której nigdy nie zabłąkał się promień słońca. Ojciec mój był podobno murarzem, ale, niestety, człowiekiem leniwym i nalogowym pijakiem i awanturnikiem. Wczesnym rankiem wychodził z domu, zabierając jakiś sprzęt, który spieniężał, a gotówkę przepijał w pobliskim szynku, przesiadując tam do późnej nocy. Ja pozostawałam w domu na brudnym przegniętym barłogu.

I gdyby nie poczciwe sąsiadki, byłabym napewno w zaraniu życia zmarła z głodu.

Jedną z tych sąsiadek, mieszkającą w tej samej sieni maglarska, tak długo błagała swego męża, aż ten zgodził się i przyjął mnie na wychowanie.

Ojciec, dowiedziawszy się o tem, zażądał jedynie „za udaną dziewczynę” halibki i pół funta „czarnego”, a wypijwszy wódkę udał się do suteryny, wyprzedał pozostałe graty, kupione ongiś za ciężko zapracowane grosze matki, i przepadł bez wieści.

Przez pięć lat nie dawał znaku życia. Kończyłam właśnie siedem lat, gdy mi przybrała matka opowiedziała, że ojciec mój zakończył swój nędzny, pijacki żywot w więzieniu, dokąd dostał się za zabójstwo jednego z swych kolegów, którego podczas bójk w szynku

śmiertelnie uderzył w ciemie butelką.

Na życie w nowej rodzinie nie mogłam się uskarżać. „Matka” dbała o mnie na równi ze swym jedynakiem, Felusiem, o dwa lata odemnie starszym chłopakiem.

Spokojne, szczęśliwe życie trwało długo, bo aż do chwili, gdy skończyłam 13 lat. Wtedy właśnie przybrany ojciec rozchorował się i umarł. Po jego śmierci pomagałam w domu i przy magli, a choć praca była ciężka, od świtu do nocy, było mi dobrze. Nim się obejrzałam, byłam 16-letnią, podobno przystojną, panną. Feluś tymczasem skończył lat 18. Był zgrabnym, rosnącym chłopcem i często mawiał do mnie: „Jakaś ty piękna, Ziutko! Będziesz moja żona, nieprawdaż?”

Wciąż był przy mnie, nie dawał spokoju, całował mnie po rękach, aż wreszcie dopiął celu. Pokochałam go z całego serca, a on, spostrzegłszy moją miłość, wykończył ją w ohydny sposób. Zresztą zdawało mi się, że mnie kocha, że i tak niebawem zostanie jego żoną, a wreszcie ulegałam mu, bojąc się, że powie o wszystkim „matce”.

Minęło kilka miesięcy. Pewnego dnia poczułam, że będę matką. Wyznałam to natychmiast ukochanemu, a on — niech mu Bóg przebaczy — wzruszył tylko ramionami, roześmiał się i powiedział:

— A cóż to mnie może obchodzić? Sama tego chciałaś. Przecież mogłaś mi dawniej powiedzieć to by jakoś się zaradziło. Daj mi teraz pokój! Zresztą dziecko może wcale nie jest moje. Albo to ja wiem, z kim tyś się włóczyła?!

Rzuciłam mu się do nóg, ale odepchnął mnie ze wzgardą. Gdy usłyszałam okropne podejrzenia, wybiegłam na ulicę, jak szalona, błądząc do późnej nocy po zaułkach.

Piechotę, ledwie powłócząc nogami, przez liściowych chłopców podwieszona furmankami, dotarłam wreszcie do Łodzi, chcąc tutaj, wśród obcych ludzi, ukryć swą hańbę.

Tutaj, po kilku dniach poniewierki, pewnego dnia w bramie domu przy ul. Leżno poczułam gwałtowne

bóle porodowe i zanim przybyło pogotowie ratunkowe, które mnie odwoziło do kliniki, urodziłam córeczkę. W klinice, po odzyskaniu przytomności, dowiedziałam się, że dziecko zmarło odrazu po przyjściu na świat, w karetce pogotowia.

Po opuszczeniu przytułku nie wiedziałam, co z sobą począć. Jak żyć dalej i dokąd się udać? Chodziłam ulicami, jak obłąkana, bez celu i bez nadziei.

Nadszedł wieczór. Głodna i zziębnięta stanęłam na rogu, w wnece wielkiej kamienicy. Po chwili podeszła do mnie jakaś młoda kobieta. Niebawem znalazłam już moją krzyżową drogę. Zlitowała się nademną i zabrała mnie do swe go pokoiku.

Tą liściową kobietą była również nieszczęśliwa dziewczyna, która z nędzy rzuciła się w otchłań rozpusty. Uspokajała mnie ona, jak mogła, perswadując, że jedynym ratunkiem dla mnie będzie, jeśli pójdę w jej ślad.

— Cóż stracisz? — mówiła. — Ofiarą i tak jesteś i drogę do porządnego życia masz zamkniętą...

Stoczyłam ciężką walkę z własnym sumieniem. Wreszcie usłuchałam podszeptów przygodnej przyjaciółki. Cóż miałam, biedna, uczynić?

Przez kilka miesięcy oddawałam się straszному rzemiosłu, zaczepiając mężczyzn i sprzedając im swe ciało.

Pewnego dnia, snując się o zmierzchu ulicami, ujrzałam nagle Felkę, tego, który był sprawcą moich nieszczęść, który zmarnował mi życie...

Nie wiedząc, co czynię, pobiegłam do swego pokoiku przy ulicy Podrzecznej i w szale rozpaczę zażyłam trucizny. Wołałam skończyć odrazu, niż wlec nadal beznadziejny żywot...

Lekarz pogotowia ratunkowego uratował mnie — kończyła nieszczęśliwa swą tragiczną spowiedź. Przedemną niezbadane wyroki losu. Jedyną nadzieją moja w Bogu. On uczyni ze mną, co zechce! Nie chciałam mieć zabrać do siebie, moją nieszczęśliwą doli. Tom,

Pożeracze szos polskich.

Wrażenia uczestnika raidu automobilklubu Polski.

(Korespondencja własna „Kurjera Wieczornego”).

Godzina 11-ta w nocy. Plac Saski w Warszawie. Dwie latarnie po bokach pomnika księcia Józefa i kilka reflektorów używanych przez wojskowość, oświetlają rzeźbiście ulicę Czystą, gdzie przed domem klubu Automobilowego zebrało się około 30 maszyn gotowych do drogi. Motory już zaplombowane, wielkie płótna z czerwono wymalowanymi numerami przytwierdzone. Okna automobilklubu oświetlone „a giorno”, przesuwają się cienie licznych postaci, pochylają się nad biurkami—ostatnie powtórzenie przepisów, sprawdzanie map. Wreszcie schodzimy na ulicę. Bocznice Pl. Saskiego natłoczone do niemożliwości, kilka tysięcy publiczności i kilkadziesiąt samochodów zbitych masą otoczyły ulicę Czystą.

Komandor p. Bitshan daje rozkaz wsiadania i po chwili już puszczają w stronę Krakowskiego Przedmieścia pierwszą maszynę. Za nią w kilkunastu sekundach odstępach druga, trzecia, czwarta—ruszamy i my. Przez most Kierbedzia na Pragę i na wschód, potem lekko zbaczamy na południe. Szybkość ogromna. Maszyna świetnie wyregulowana, ciągnie wspaniale, chcemy to wyzyskać i mimo ciemnej nocy rwiemy jak szaleni. Przelatujemy wioski, osady, nieznacznie jeno zwalniamy w uśpionych miasteczkach, reflektory nasze rzucają silne białe światło na dobrą szosę. Od czasu do czasu wrażenie, że ktoś jest przed nami, huk elektrycznej syreny, pedzimy dalej. Maszyn raidowych jeszcze nie widać, widocznie wszyscy posuwają się w tak szybkim tempie, a droga trudna, noc poza polaciami szosy oświetlonej przez reflektory nie widać nic—czarność przeraźliwa. Po godzinie mijamy pierwszą maszynę z raidu, po dalszym kwadransie jakąś maszynę, też należącą do raidu, która zmienia koło, wreszcie tuż za nią na 157 kilometrze nieszczęsną „Tatrę”, która nie dołała wody do chłodnicy i uległa pęknięciu przeziernego cylindra.

Przed nami poczyna jaśnieć—krótka lipcowa noc ma się ku końcowi. Jakby jednak na zamówienie komandora raidu, który chce wszystkie zdolności nasze i maszyn na próbę wystawić, droga staje się coraz gorsza. Jedna trudność—ciemność—ustała, druga w postaci trudnej drogi zaczyna nas trapić. Resory aż jęczą pod nami—zwalniamy. Chciałoby się już trochę wyprostować skurczone

członki, wspominam o tem nieśmiało naszemu szoferowi. Ironicznie spojrzanie i mocniejszy nacisk nogi na akcelerator—rwiemy w przestrzeń.

Ze wstydem muszę się przyznać, że jestem nieco zmęczony, Białowieża jest mi już nawet obojętną, gdy wtem charakterystyczny huk—psssst!—opona!

Zmieniamy koło szybko, wprawnie i jazda dalej. Około 500 km.—oto plon pierwszego etapu. W Zamościu spotykamy kolegów—stoją na rynku. Pierwsze wiadomości. Dużo maszyn jest jeszcze bez punktów karanych, inne zaś już nieźle „zarobiły”. Biedny mały „Salmson” ma ich aż 65, komandorska „Tatra” wogóle dalej iść nie może.

Dzielimy się wrażeniami. Droga dobra, żeby tylko dalej tak... Organizacja świetna, wszystko na czas, żywność dla nas i „napój” dla samochodów, ludność nie przeszkadza, policja zaś sprawuje się wzorowo. Pałaszując z wilczym apetytem posiłek, obgadujemy tego i owego szofera, nazwy marek, szybkości, ilość reparacji, jakiego dla biednego dziennikarza całkiem obce wyrazy, zwroty niesamowite określenia—wszystko to krzyżuje się, leci z ust do ust, zapytania, rady, wskazówki.

Fakt w każdym razie, że dopiero teraz pocynam odczuwać „reisefieber”.

Głód i zmęczenie—minęły, wyłazi inna słabość ludzka—„pasja”—chciałbym już znów siaść w naszego „stalowego rumaka”, jakby go nazwała koleżanka Mniszkówna, a za nią Magdalena Samozwaniec i... „z wichrem mknąć w zawody”.

Rytuał raidowy przewiduje jednak inaczej, a taki elegancki pan z automobilklubu to niby grzeszny, układowy, a słodki, a uprzejmy—ale o sprzeciwie—mowy nie ma! Posłuch i „sztoss!”

Rysem zasadniczym dalszych etapów aż do przeuroczego Zakopanego są złe drogi. Jak się wyraził któryś z kolegów dziennikarzy „w 80-ciu procentach fatalne, a w 20-tu nie do jazdy wogóle!” Teren górski również nie mało zmarłwien przysparza naszym „conducteur’om”. Poczynamy i my zarabiać punkty karne. Taka niepozorna, niby nie, rurka metalowa, nazywa się „dysza”, a stałe swe siedlisko ma w karburatorze (jak szybko jednak z dziennikarza można stać się automobilistą) zachęcała się. Trzeba zdjąć plombę z

motoru (a nasz niby komisarz już notuje), i przeczyć ją. A to kosztuje: czasu trochę i punktów karanych.

W Zakopanem przyjęcie niebywale. Mnóstwo znajomych, Warszawa, Łódź, a kwiatów dla nas całe góry. Obrzucają nas niemi, wiatują, mam wrażenie, że naprawdę jestem jakimś bohaterem lub „osobistością oficjalną”, jak nazywają gazety jegomościów, dla których ma się zawsze pełne ręce kwiatów i pełne gardło okrzyków.

Przepiękna szosa jedziemy do Morskiego Oka. Na ciastym podjeździe do miejscowego schroniska—mały wypadek. Jakiś zbyt zapalczawy samojazd najechał koledze chłodnicą na zbiornik benzyny. Najechany polutował sobie zbiornik w parę godzin, nieostrożny zaś szofer sam padł swą ofiarą, gdyż pogruchotał chłodnicę, a to wymaga już dłuższej reperacji.

Zakopane—Kraków—drogi nieźle i szybkość rozwijamy niesamowicie—jak dla mnie, bo moi towarzysze się śmieją... Znowu nocleg, świetne przyjęcie, na którym tematem rozmowy są świetne szosy b. zaboru pruskiego, na które jedziemy już jutro.

Kraków—Katowice—Częstochowa—Kórnik—Poznań. Nieprawdopodobne wertepy przebywamy na przestrzeni Kraków—Chelmik. Punkty karne spadają istną ulewą. „Salmson” wycofany. Ofiara najechania w Morskim Oku auto „O. M.” już jest zreperowana i idzie bez punktów karanych. Na świetnych szosach, począwszy od b. granicy niemieckiej, rozwijamy coraz większe szybkości, mistrzem w tej dziedzinie jest p. Winnicki na swej „Stali”, która na niektórych odcinkach „wali” (tak się tu mówi...) 120 km. na godzinę.

Na szosie pod Kórnikami spotykamy członków poznańskiego automobilklubu, którzy wyjechali nam na spotkanie, skarżą im się ci i owi na o wiele gorszy dozór policji nad raidem na terenie Górnego Śląska. Tablic nie umieścili, auto z gen. Ostoją-Zagórskim zapuściło się aż pod Bytom i mało brakowało, by się dostało na niemieckie terytorium.

Tu, na przestrzeni 30 mtr. urządzamy próbę elastyczności motorów.

Auto na 4-ym biegu (wogóle nastawione na maksymalną szybkość) ma posuwać się jak najwolniej. Gazu dodaje się znikome ilości, auto prycha, parska, wierz-

ga (o! pardon, zapomniałem się w zapale) i sunie jak zółw. „Poznań” nie łaskawe, nie puszczają nas przez miasto, gdyż toby tamowało ruch („ordnung heisst ordnung!”), a musimy objeżdżać jakimiś zakazanymi uliczkami przedmieść—przyjęcie jednak znowu wspaniałe, a pan starosta nieco się usiłował ze swych zarządzeń tłomaczyć.

Aż do Pucka 441 km. znowu szosy wymarzone, a władze nader uprzejme. Szybkości rozwijamy znowu niesamowite. W Pucku wieczorem bankiet w sali „Kurhaus’a” na którym jako goście byli również członkowie gdańskiego automobilklubu w liczbie przeszło 40 osób.

Nieźle wypoczęci, ruszamy wprost do Warszawy. Raid zbliża się ku końcowi. W doskonałym tempie przez Gdańsk, Grudziądz, Rypin (wjeżdżamy na gorsze szosy), Modlin rwiemy do Jabłonny. Tu maszyn naszej poczyny iść gorzej. Szybkość słabnie, poczynają nas wyprzedzać.

Jak djabieł sypie na „Itali” p. Winnicki, który mimo, iż z powodu defektu kierownicy miał 7 godzin opóźnienia, dzięki „kawalerskiej” jeździe odrobił stratę i w godz. 6 min. 50 przebył przestrzeń Puck—Jabłonna, gdzie stanął jako pierwszy z uczestników raidu.

W Jabłonie oczekuje nas mnóstwo aut z Warszawy. Robimy mu niesłychanie „ważne” i łaskawe pozwałyśmy oglądać nasze okryte płaszcze, nieco zmęczone, ogorzałe twarze—jednym słowem to wszystko, co cechuje „znakomitego automobilistę”.

O godz. 3-ej, po „kilometrażu” w tryumfalnym pochodzie ruszamy do Warszawy.

Na natłoczonym do niemożliwości wiadukcie mostu Poniatowskiego jeszcze jedna próba elastyczności i wreszcie wszystkie auta raidowe w towarzystwie przyszło setki „aut-kibiców” ruszają pod wodzą komisarza ruchu kołowego, Grzędzicy na „raid po Warszawie”.

Objeżdżamy główne ulice, witani okrzykami i kwiatami (ilość skromniejsza, niż w Zakopanem i wreszcie odstawiamy dobrze wymordowane maszyny do garaży „Fiata” na ulicę Sapieżyńską gdzie są one dokładnie plombowane.

Dopiero po zbadaniu stanu motorów wyda komisja sędziowska wyrok o zwycięstwie.

Rojąc marzenia o własnym, miłym łóżku, dziękujemy tym, którzy dali nam w maszynach swych gościnę i... tramwajem do domu.

Kaz. Kol.

„Pracownia” Landru do sprzedania

Przed kilku dniami ukazał się w pismach paryskich anons tej treści: „W Gambais jest piękna willa do sprzedania. Informacje u p. Carrier, notariusza w Mellun”.

Współpracownik „Quotidien” przeczytał to ogłoszenie i pomyślał: miejscowość jest urocza, niedaleko Paryża, willa byłaby jak stworzona dla mnie!

— Ale w tej chwili coś go tknęło. — Gambais — Gambais! Coś ważnego z nazwą tej miejscowości się łączy, coś przykrego nawet!

I nagle zamajaczyło mu przed oczyma słowo, które tyle hałasu narobiło w Paryżu, we Francji, w świecie: Landru!

Tak, to była willa okrutnego a perfidnego mordercy kobiet, która teraz wystawiono na sprzedaż.

Mimo to, dziennikarz, jako mąż odważny a lubiący sensację, postanowił willę nabyć. Kto wie, jakie emocje i pomysły mogą się zrodzić wśród tych ścian, które widziały krwawe czyny sinobrodego Landru!

Możnaby zresztą w willi urządzić „Muzeum Landru” i ciągnąć tego zyski. Anglicy i amerykańscy gnanie ciekawością zwiedzaliby tłumnie.

Nie zastanawiając się więc więcej, dziennikarz ów udał się do Gambais. Mały domek Landru otoczony płotem, który częścią rozwalał ciekawie, żeby móc zajrzeć do ogródka. Ziemia w ogródku rozkopana jeszcze od czasu rewizji sądowniej.

Najbardziej interesująca jest jednak kuchnia, w której spalał Landru swoje nieszczęsne ofiary.

Ale dziennikarz miał dość tych emocji. Odrazu znikło też marzenie o domku w Gambais, o muzeum dochodach. Zrozumiał bowiem, że nie mógłby w tej willi spędzić nawet jednej nocy.

W Gambais opowiedziano dziennikarzowi, że nie on pierwszy po obejrzeniu tego siedliska zbrodni zaniechał zamiaru kupna. Ludzie boją się upióra Landru i willa skazana jest na zagładę.

JACK LONDON.

Złoty żar.

(Dalszy ciąg).

— O — rzekł on na to. — Dave, to dzielny chłop. Nie można mu niczego zarzucić. Wysoki, barczysty i smukły. Słowo jego znaczy tyle ile podpis u reagenta. Kłamię ten, kto utrzymuje, że Dave kiedykolwiek skłamał. Człowiek taki miałby ze mną do czynienia, gdyby oczywiście sam Dave nie ukroczył w wywód karku. Dave jest doskonałym bokserem.

Pewnego dnia, gdy wałęsał się z fuzją, usłyszał nagle pomruk nie dźwiędzący. Poszedł więc za głosem i uduśił niedźwiedzia rękami! Nie boi się niczego!

Nie ceni zbyt wiele pieniędzy i za przyjaciela oddałby ostatnią koszulę. Nie przeszkadza to, że dawał nura na dno jeziora Niespodzianki i wydobył za dziewięćdziesiąt tysięcy dolarów złota! Czy tak nie jest?

Kobieta zarumieniała się z radości i skinęła potakująco głową. Słuchała z natężoną uwagą, a Mac Fane nie mrugnawszy nawet okiem mówił dalej:

— Liczyłem, że go tu spotkam. Byłbym mu bardzo rad.

Potem podał kolację i zabraliśmy się do jedzenia. Za drzwia-

mi odezwały się skowyty i wycie psów.

Kobieta poskoczyła i otworzyła drzwi, by zobaczyć co się tam na dziedzińcu dzieje.

Skorzystałem z tego, by spytać Mac Fane’a:

— Gdzie on jest ten Dave?

— Nie żyje. Może jest w piekle. Nic o nim nie wiem.

— Nie żyje? Przecież dopiero mówiliś, że pragnąłeś go tu spotkać?

— Milcz — rzekł Mac Fane.

Kobieta zamknęła drzwi i wróciła do nas, ja zaś starałem się przetrwać odpowiedź mego slugi, który ośmielał się rozmawiać ze mną w ten niezwykle sposób.

Lon i ja ułożyliśmy się wcześniej do snu, gdyż zamierzaliśmy wyruszyć następnego dnia.

Gdy Lon przykrył nas oboje kołdrą, spytałem po cichutku:

— Ta kobieta jest obłąkana?

— Zupełnie — odrzekł on.

Ale zanim zdążyłem zadać choćby jeszcze jedno najkrótsze pytanie, Lon już spał i chrapał.

Następnego dnia po połyściu śniadania i nakarmieniu psów wyruszyliśmy w drogę. Pożegnaliśmy się z kobietą, która odprowadziła nas na drogę.

Dziwnie jakoś nie mogłem zapamiętać niezwyklej urody tej kobiety.

Kilka razy chciałem prosić Lo-

na o wyjaśnienia, ale postanowiłem czekać na południowy odpoczynek, by wydobyć z niego tą tajemnicę. Ale nie zatrzymaliśmy się wcale w południe, gdyż Lon objaśnił mi, że jeżeli powędrujemy szybko dalej, uda nam się może przed nocą stanąć w obozie myśliwych, którzy polują tu od kilku miesięcy.

Ale stało się zupełnie inaczej. Bright, nasz największy pies, upadł i zwichnął sobie łopatkę. Straciłmy przeszło godzinę na leczenie go, aż nareszcie zdecydowaliśmy się go zastrzelić.

A potem, gdy przechodziliśmy po lodzie jeziora Teelee, jedne z naszych sani zawadziły o pień drzewa i złamały płoż. Musieliśmy więc znowu stanąć, by zreperować ją.

Zjedliśmy kolację i nakarmiliśmy psy. Lon zebrał sporo suchych gałęzi i rozpaliliśmy ogień, by spędzić przy nim noc. O dalszej podróży nie mogło być mowy.

Usiedliśmy na pledach i Lon, nie czekając na moje zapytanie, zaczął:

— Czy nigdy o niej nie słyszałeś?

Zaprzeczyłem ruchem głowy.

— Przypomnij sobie dobrze! A czy zauważyłeś ten blask, który idzie od jej złotych włosów, od różowej skóry i wisińowych ust? Blask ten przypomina jutrenkę i złote promienie dogasającego o-

gniska. Dlatego nazwano ją „Złotym żarem”. Czy nie o niej nie wiesz?

Nadaremnie szukałem w pamięci:

Może to była tancerka? — spytałem.

Ale Fane zaprzeczył:

— To nie to. Była to kobieta, jakby to powiedzieć... nie umiem ci tego określić.

— Dlaczego była? Mówisz o niej jak o umarłej!

— Bo od czasu, gdy obłąd ujął ją w swe objęcia, można ją uważać za umarłą. „Złoty żar” nie jest już żywą kobietą. W biedaczce tej nie ma już nic z tego, co stanowiło jej czar za dawnych czasów.

— A Dave?

— Dave wybudował tę chatę dla niej i dla siebie. On już nie żyje. Ona zaś oczekuje go tu, gdyż nie może pojąć i nie rozumie, że umarł. Ale kto może czytać w takiej duszy? Ona być może zupełnie serjo wierzy, że Dave żyje. W każdym razie czeka tu na niego. Ale czy można wskrzesić tych, których już nie ma? Słyszałeś, co powiedziałem, by jej nie martwić. Ale gdyby Dave stanął nagle we drzwiach, ja pierwszy nie zdziwiłbym się wcale.

— Nic z tego wszystkiego nie

rozumiem. Opowiedz mi wszystko ko od początku.

I Lon Mac Fane rozpoczął swą opowieść:

— Wiktor Chauvet był francuzem, rodem z południa Francji. Przewędrował do Kalifornii, by szukać złota. Poszukiwania te zapędziły go daleko na północ aż na brzeg Jukonu. Sprzedawał tam wódkę i wino i cieszył się dużą sympatią i powodzeniem. Chauvet był dobrym katolikiem i w świecie kochał dwie rzeczy: wino, które sprzedawał i kobietę, która była matką Marji Chauvet.

— Cóż mnie obchodzi rodzina Chauvet? — zawołałem z oburzeniem.

— Chciałeś przecież, bym ci opowiedział wszystko od początku. Marja Chauvet to właśnie „Złoty żar”. Rozumiesz? Gdy Chauvet stracił żonę, przeniósł całą swą miłość na małą Marję. To on nazwał córkę swą „Złotym żarem” i imieniem tem ochrzcił wioskę i wodospad.

Mac Fane przerwał w tem miejscu swą przemowę i spytał mnie (patrzac mi przytem uważnie w oczy):

— Co ty myślisz o urodzie tej kobiety?

Wyznałem, że wydała mi się nad wszelki wyraz piękną i że nie mogłem jej zapomnieć ani na chwilę.

(D. c. n.).